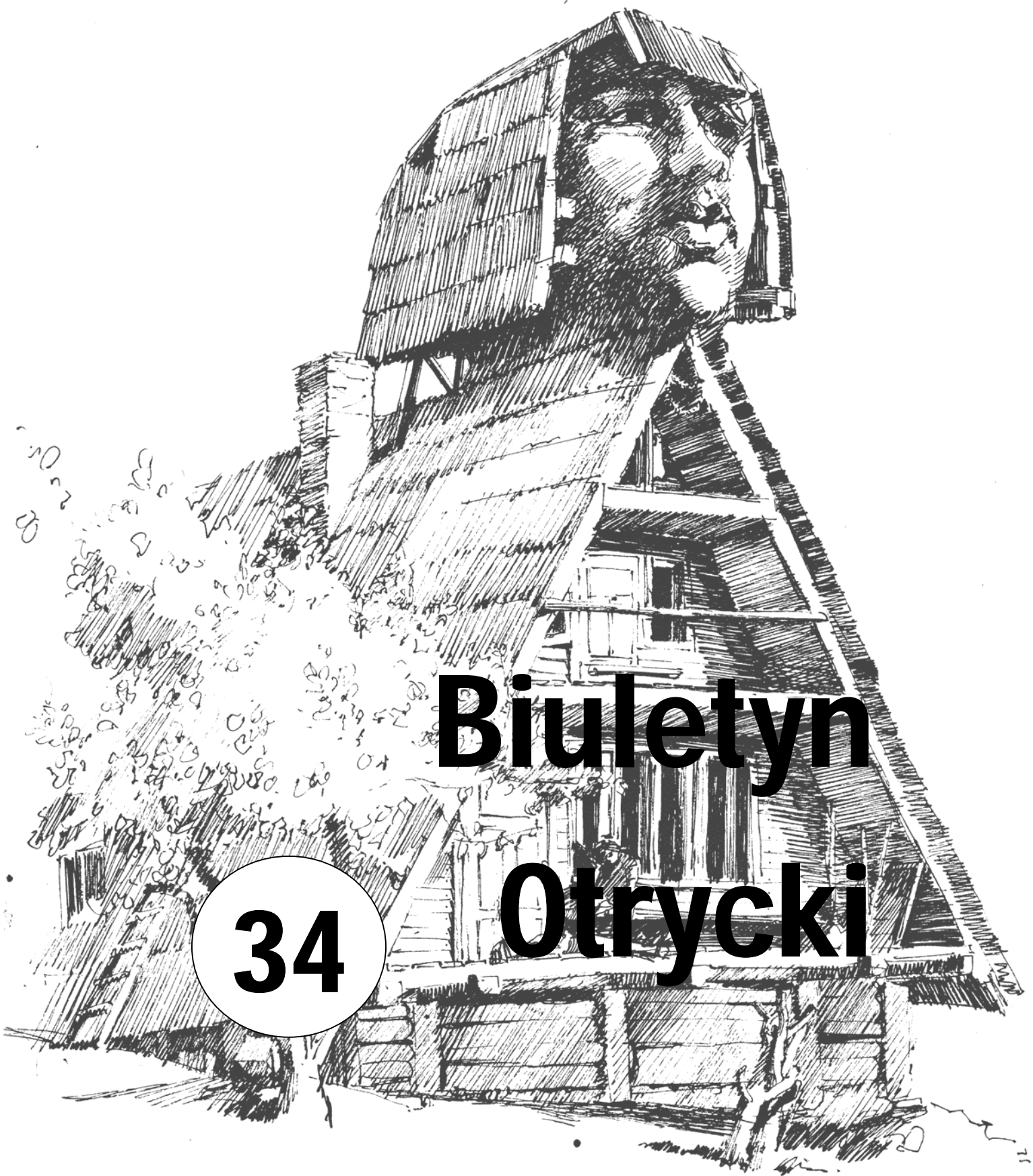


LATO 2004



Biuletyn

Otrycki

34

TYGRYS

(wierszyk dla dziecka uczącego się myć zęby)
dla „Dzideszty” 22/01/1986

- Żółty tygrys szczerzy kły,
bo ten tygrys strasznie zły.
- Ja nie wierzę!
- W co nie wierzysz?
- Że chce mu się tak kły szczerzyć.
- Ależ wierz mi - mówię szczerze,
że przyjeżdża na rowerze
Szczepan, który od miesiąca
W Zoologu jest dozorcą.
Co dzień rano i wieczorem
(na rowerze lub motorem)
przywozi na bagażniku
wiadro, szczotkę, sześć ręczników.
Szczotkę szczodrze sypie proszkiem
I wyciska pasty troszkę.
Każe trzymać pysk otwarty
i szoruje nie na żarty
Tygrysowi wszystkie kły.
Przez to tygrys, co był zły,
Bardzo grzeczny wnet się staje,
Bo tygrysów jest zwyczajem
Błyskać zawsze czystym kłem -
- co dzień rano i przed snem.

- Chcesz jak tygrys czysta być?
- Już wiem - muszę często zęby myć.

Juliusz Głowacki

OTRYT
ORIENTACYJNY PLAN stawiania STANU SUROWEGO
czerwiec '2004:

Założenie:

11 ludzi do budowania + kilku "kulisów" + kilka pań (żarcie i picie - to jest czerwiec: wiadra z herbata).

A (1 dzień)

2 ludzi: zrobić 4 kobyłki.

2 ludzi: heblować podwaliny 4 str. - dla ochrony, a płatwie i belki stropowe 3 str. - dla urody (będą częściowo widoczne).

2 ludzi (Jul + 1): wytyczyć na gotowo sznurki, zrobić szablony kątów (1: kalenica, 2: stropowa/krokiew, 3: krokiew wykusza góra, 4: krokiew wykusza dół).

3 ludzi nosić i kłaść podwaliny, przybijając do kotwi SST gwoździami Gunnebo (dobre młotki!), obciąć na gotowo (dług.).

2 ludzi: szalunki ("koryta") i wylać beton pod kominy (kilka cm ponad poziom podłogi).

B (3 dni)

4 ludzi (Jul + 3): nosić, układać, przycinać motorową i zbijać (płytki SST) krokwie/belki stropowe/jętki.

1 człowiek: przygot. długą tykę do stawiania krokwi, okrągłaki na słupy i balustrady.

1 człowiek: przybijając do podwalin (Jul: pokaż do których) po 2 kotwie pod krokwie.

5 ludzi (Jul + 4): stawiać krokwie (tyczka z linką), łączyć je zastrzałami z desek (żeby się nie sp...), dodać pozost. kotwie.

"mała" wiecha.

C (2 dni)

3 ludzi: nabijać ruszt (listwy) od dołu i włożyć styropian w strop parteru.

4 ludzi: zdjąć szalunki z fund. pod kominy, nosić i kłaść płytę OSB (dookoła fund. pod kominy) na całej podłodze (wkrętaka + wkręty), włącznie z wiatrołapem.

4 ludzi (Jul + 3): płatwie, oraz wykusze: ścianki zewn. + b. stropowe + krokiewki.

D (2 dni)

5 ludzi: poszycie dachu z OSB.
4 ludzi (Jul + 3): konstrukcja ścian szczytowych.
2 ludzi: zrobić 2 długie drabiny + podesty do obijania od zewn. płytą ściany szczyt. pn).

E (3 dni)

5 ludzi (Jul + 2 x po 2): ścianki wewnętrzne.
3 ludzi: OSB na ściany szczytowe.
3 ludzi + rezerwa: wełna w ścianki służbówki, w ściany zewn. i dach.

F (2 dni)

1 człowiek: ośnikiem ściąć kanty belek.
1 człowiek: sprzątanie na budowie.
3 ludzi (Jul + 2): schody i drabina na jaskółkę.
2 ludzi (Jul + 1): po 4 sznurki na winklach kominów, słupy i balustrady.
4 ludzi: podłoga na piętrze i jaskółce (OSB).
"duża" wiecha,

G (1 dzień)

kac gigant + porządki (sprzątanie + chowanie sprzętów i materiałów), pakowanie + narzędzia Jula na dół!!!

RAZEM:

14 dni roboczych.

NASTĘPNE WYJAZDY

lipiec - wrzesień 2004 (?)

kominy
papa na dachu (gonty?)
kominek
kuchnia
koza w służbówce
okna w ścianach
deskowanie wewnątrz
prycze

Szanowni Budowlańcy - amatorzy,

W każdym fachu jest terminologia i trzeba ją znać.

Dlatego przedstawiam krótki słowniczek terminów budowlanych, potrzebnych nam do profesjonalnego komunikowania się w trakcie budowy.

Oto wybrane hasła:

1. ELEMENTY BUDOWLI:

- **drzewo** to, co rośnie w lesie
- **drewno** od momentu ścięcia i pocięcia. Już nie jest drzewem!
- **oflis** jeśli na krawędzi belki albo deski pozostanie naturalny kształt drzewa
- **belka** jest belką, gdy jest poziomo
- **słup** jest to belka pionowa
- **podwalina** belka na fundamencie, na niej reszta konstrukcji drewnianej
- **słupki** to pionowe elementy ścian
- **nadproża** to belki nad oknami i drzwiami
- **oczep** to belki tworzące ramę zwieńczającą i spinającą do kupy ściany
- **belki stropowe** to te, które tworzą strop
- **kleszcze** to belki obejmujące z 2 stron np. krokiew, to taka podwójna jętka
- **krokiew** jest rodzaju żeńskiego, l.mn.: krokwie, deklinuj tak jak "żagiew" to ta belka biegnąca skośnie i tworząca połąć dachu
- **krokiew główna** jest wtedy kiedy przebiega przez całą połąć dachu, czyli od kalenicy do okapu
- **wykusz** jest tam, gdzie ścianka wystaje z połąci dachu (łazienka i służbówka)
- **krokiew nad wykuszem** krótka, tworzy dach nad wykuszem
- **wiatrołap** nie chodzi o kurtkę. To pomieszczenie wejściowe, sień, przedsionek
- **krokiew wiatrołapu** chodzi o dach nad wiatrołapem
- **krokiew koszowa** to belka łącząca dwie połącie dachu zbiegające się do wewnątrz budynku
- **kosz** to wcięcie w dachu między połącią główną dachu a wykuszem, tworzy jakby rynnę
- **jętki** belki spinające u góry dwie krokwie. Tworzą z nimi trójkąt i jednocz. strop jaskółki
- **płatew** (deklinuj tak jak krokiew) belka idąca prostopadle do jętek, wzdłuż połąci dachu
- **kalenica** najwyższa linia pozioma dachu, szczyt dachu
- **belka kalenicowa** to belka, która tworzy kalenicę
- **krokiew narożna** to ta na rogu, czyli na krawędzi dachu
- **miecz** ale nie ten od Lancelota, to zastrzał, ukośna beleczka usztywniająca połączenie słup/belka
- **poszycie** to pokrycie dachu (płyta OSB lub deski)
- **okap** to fragment dachu wystający poza obrys budowli

2. TECHNICZNE

- **gwoździe karbowane (anchory)** specjalne gwoździe tylko do przybijania złączy do drewna
- **złącza** ("BeeMeFy" albo "SIMPSONY") różnego kształtu blachy do łączenia ze sobą belek na styk
- **winkel** to po polsku kątownik
- **plytka** to płaska blacha w kształcie prostokąta
- **klips** to taka blaszka do łączenia płyt OSB
- **"but"** to wspornik (wieszak) belki, mocuje belkę do innej belki lub do słupa
- **wiatrownica** to (dawniej) deska (teraz) taśma stalowa spinająca dach lub ścianę po przekątnej
- **kotew** (deklinuj tak jak krokiew, a nie jak "kutwę") to coś, co kotwi, np. słup do betonu, albo krokiew do płatwi
- **zawias** jest rodzaju męskiego, zupełnie jak skobel (nie ma "zawiasy" tak jak nie ma "skobli").
- Podobnie z **kafelkiem**
- A odwrotnie z **murłatą**. Wielu mówi ten "murłat", a to jest ona -belka łącząca murowaną ścianę z dachem

3. NARZĘDZIA:

- **łapka** to taki łom do wyciągania gwoździ
- **metr** to miarka do mierzenia
- **sztamajza** to szerokie dłuto
- **strug** to przedwojenny hebel
- **frezarka** - nie będę Wam tłumaczył, sam to zrobię
- **pion** to ciężarek na sznurku (wiadomo do czego)
- **tacker** (wym.: taker) to taki zszywacz do folii
- **czujnik** duży młotek
- **krokwiaki** (dawniej "bratnale") to bardzo duże gwoździe
- **waga (waserwaga)** to nic do ważenia, to poziomicą albo wąż (szlauch) z wodą do łapania poziomu

4. POPULARNE ZWROTY MAJSTROWSKIE:

- **k...twoja mać** to nigdy nie dotyczy niczyjej matki
- **mniej więcej** - na takie diktum majster ci pokaże dwa palce: wskazujący i środkowy i powie: "mniej więcej, synu - to jak sobie te dwa palce wsadzisz w dupę, bo ten wejdzie mniej a ten więcej. Ma być dokładnie!"
- **wszystko jedno** na takie diktum majster ci odpowie: "jak by było wszystko jedno, to by psy dupami szczeptały".
- **złap pion** to nie znaczy, że coś masz łapać. Chodzi o to, żebyś zmierzył pion poziomicą, albo pionem
- **złap wymiar** - analogicznie
- **fajrant** to znaczy, że koniec na dzisiaj i możemy się napić, ale tylko trochę, bo jutro też jest robota
- **wiecha** to zwyczaj po skończeniu konstrukcji. Mocuje się bukiet na kalenicy i świętuje się postawieniem "stanu surowego". Teraz możemy się napić porządnie
- **kama** to zacięcie w krokwi na podwalinie, albo na płatwi
- **motorówka** to nic do pływania. To piła motorowa, czyli łańcuchowa
- **winkel** to kąt prosty

- **zakotwić** znaczy zamocować w czymś lub do czegoś
- **zfazować** znaczy ściąć kant
- **skalibrować** znaczy doprowadzić do jednakowego wymiaru, np. belkę
- **oczyścić belkę** - zdjąć korę i łyko (to najbardziej lubią robaki)

* * *

I znowu jestem tu,
w obliczu Połoniny.
W bladym słońcu jesieni
niosącym przymrozek.

Jej wyszczerbiony nóż
ciemnieje w bladym niebie.
Gęste pasemko krwi
paruje znad krawędzi.

I znów stanąłem tu,
w obliczu Połoniny.
Znowu przemawia do mnie
i wciąż jej nie rozumiem.

Tadeusz A. Olszański
Otryt Górny, wrzesień 2003

DROGA DO ODBUDOWY

Cz. 1

Ponieważ minęło już wiele czasu od kiedy stało się to co się stało i rozpoczęliśmy pierwsze przymiarki do restauracji Chaty, myślę że można już bez strachu o zapeszenie poczynić pierwsze próby bardziej szczegółowego opowiedzenia o tym co się działo.

1. Plany

Gdy Baltazar przyjechał do mnie do firmy i później przyszedł jeszcze Jimi i Kuba, dzwoniliśmy do kolejnych osób, osoby dzwoniły do nas, ja ciągle miałem wrażenie, że informacja o pożarze jest jakimś makabrycznym żartem. Tysiące myśli przewalających się przez głowę, myśli i emocji, które każdy z nas chyba poznał, choć poznać by nie chciał. Oprócz szoku straty, myśli o losie Zdziśka Skroka i Bińka, którzy stracili w pożarze cały dobytek, strach czy nikomu nic się nie stało, myślenie o tym co dalej. Wiadome było, że np. narzędzia w Drewutni czy agregat nie może na resztę zimy zostać na Górze. Wojtek Ciombor przyjął pogorzalców pod swój dach, Jacek Dopart pomógł zwieść resztki ocalałych rzeczy na dół. Wielkie dzięki im za to.

Następnie zaczęliśmy się zastanawiać, jakie etapy powinny mieć nasze działania. Spotykaliśmy się więc wielokrotnie by przedyskutować wszystko to o czym nie mieliśmy zielonego pojęcia. Gospodarzem tych spotkań byli Pawlikowie, zaś przewodnikiem po zawłościach prawnych Rafał „Sędzia” Kaźmierczak. Zbieraliśmy informacje kto jest kim we władzach terenowych i jakie dokumenty musimy złożyć. Opracowaliśmy formy informacji o zbiorce pieniędzy, bazę osób odpowiedzialnych za poszczególne rzeczy lub mające kontakty do osób mogących w jakikolwiek sposób pomóc.

Były spotkania w Urzędzie Gminy, były spotkania w Nadleśnictwie, z Dyrektorem BPN – wszyscy deklarowali swoje wsparcie i pomoc w naszej inicjatywie odbudowy. To napawało optymizmem. Na tym etapie mieliśmy jakiś ogląd sytuacji:

- 1) dział zagospodarowania przestrzennego gminy Lutowiska - papiery związane z pozwoleniami.
- 2) Leszek Popowicz ma znajomego architekta, który być może pomoże zaprojektować nową Chatę.
- 3) Trzeba poszukać fuduszy unijnych, z których można by sfinansować odbudowę.
- 4) Andrzej z Ela Wroną robią imprezę ostatekową połączona z kwestą.
- 5) Mamy bardzo silne poparcie Nadleśniczego Marka Bajdy.
- 6) Trzeba opracować nową umowę dzierżawy terenu pod Chatę i w tej sprawie należy kontaktować się z Panią Lucyną Gniazdowską-Dziurą z Nadleśnictwa.
- 7) Dyrektor BPN Wojomir Wojciechowski także udzielił nam wszelkiej niezbędnej pomocy w poszukiwaniu wykonawców poszczególnych prac ew. niezbędnych maszyn.
- 8) Trzeba przygotować ofertę sponsorską.

2. Etap I - polskie realia

Wiedzieliśmy co mamy robić, zatem przystąpiliśmy do pracy. W zasadzie jedyną rzeczą którą bezproblemowo dało się załatwić to nowa umowa dzierżawy z Nadleśnictwem. Nadleśniczemu Markowi Bajdzie idea odbudowy bardzo się spodobała, stwierdził wręcz, że nie może być Otrytu bez naszej Chaty, która kanalizuje ruch turystyczny okolicy i jest bazą nie tylko noclegową ale dbającą o porządek na szlakach. Nieustające telekonferencje z Panią Lucyną, bezpośrednie negocjacje Sędziego z prawnikami Dyrekcji Lasów Państwowych w Krośnie i w końcu udało się. Niestety rychło się okazało, że w każdej pozostałej sprawie są różne problemy, których wcześniej nie widzieliśmy. Np. z końcem 2002 roku stracił ważność Plan Zagospodarowania Przestrzennego dla gminy Lutowiska. W związku z tym formalna droga do pozwolenia na budowę baaardzo się wydłużyła. Sędzia oświecił nas, że przy maksymalnej przychylności urzędników skutkującej maksymalnym skróceniem czasu rozpatrywania poszczególnych etapów cała procedura potrwa przynajmniej pół roku. A na tym etapie jeszcze chcieliśmy odbudować Chatę od razu w 2003 roku. Później urealniliśmy te plany i porzestaliśmy na fundamentach, ale ich też nie można było rozpocząć bez pozwolenia. Na szczęście odezwał się Henryk Kliszko i dał namiary na osobę, która wydawała pozwolenie na budowę

pierwszej Chaty. Łukasz Juraszyński podpowiedział nam, żebyśmy złożyli wniosek o ODBUDOWĘ, co znacznie uprości i skróci całą procedurę. Tak w końcu się stało i wniosek wylądował w Starostwie 2.06.2003 roku

Zanim jednak mogliśmy złożyć wniosek potrzebny był projekt. Spotkaliśmy się parę razy z człowiekiem, na którego kontakt dał nam Leszek Popowicz. Architekt ten przyzwyczajony do projektowania biznesowych wieżowców pocieszył nas, że zaprojektuje nam Chate i da namiary na wykonawców którzy nam to postawią za 30 tys. zł. Brzmiało to zbyt pięknie aby było prawdziwe i rzeczywiście na jednym z kolejnych spotkań zaproponował nam formę drewnianego igloo z olbrzymim paleniskiem na środku. Popatrzyliśmy na siebie z Baltazarem i powiedzieliśmy, że musi to zaakceptować reszta, bo projekt jest hmm... nowatorski i kontrowersyjny. Pan architekt uprzedził nas jednak, że nie będzie pilotował projektowania i wykonania tradycyjnej Chaty, bo architekt musi coś z tego mieć a tu nie chodzi o pieniądze tylko o satysfakcję realizacji oryginalnego projektu. Po tym spotkaniu kontakt w zasadzie się urwał.

Wtedy pojawił się wykładający na Architekturze PW prof. Krzysztof Dyga. Wola w narodzie była zachowawcza i jasne było, że wchodzi w grę forma dachowca. Było wiele spotkań, w czasie których dyskutowaliśmy technologię, rozkład pomieszczeń, co ew. poprawić, co przesunąć itp. szczegóły. Chodziło o to by maksymalnie zachować te rozwiązania, które zdały egzamin czasu natomiast poprawić to co było niedopracowane. W międzyczasie trzeba też było zrobić mapę wysokościową terenu. Tu z pomocą po raz kolejny przyszedł Baltazar, a raczej jego koledzy geodeci. Niestety ich personaliów nigdy mi nie zdradził. Zrobili oni pomiary na Górze i dość szczegółową mapę wokół Chaty z zaznaczonymi poziomiami. Wg słów Baltazara kosztowałyby to Klub jakieś 4 tys. zł. Mieliśmy mapę, mieliśmy wstępny projekt, następnie jeszcze dosyć długo czekaliśmy aż znajomy konstruktor policzy wytrzymałościowo konstrukcję. W końcu udało się wszystko zebrać i gotowy projekt Chaty mogliśmy złożyć razem z wnioskiem o pozwolenie na odbudowę.

3. Etap II - Planowanie pracy

Procedura szła swoim trybem a my pracowaliśmy nad resztą. Z inicjatywy Pawlika opracowaliśmy plan prac na sezon letni 2003. Rozpoczęły się również prace nad ofertą sponsorską. Michał Aleksandrowicz wziął na siebie kontakty z prasą owocuując dość szeroką informacją na temat kolejnych etapów naszych prac. Wiadomo było już wtedy, że będziemy musieli kupić nową piłę motorową, że będzie trzeba jak najszybciej dokończyć wiatę, by było się gdzie schronić przed deszczem w czasie prac. Że warto by wyremontować lektorium, by była choć minimalna baza noclegowa. Trzeba koniecznie zorganizować bazę namiotową na Otrycie, by było widać, że coś się tam dzieje. Staraniem Magdy i Radka wydrukowany został plakat o pożarze, zorganizowana została akcja puszek do zbierania pieniędzy. Plakaty zawisły na Uniwersytecie, w sklepach podróźniczych, w Bieszczadach. Puszki zostały rozwieszone po sklepach i trafiły do niektórych schronisk. Na konto Klubu zaczęły spływać pieniądze od ludzi z całej Polski. Kwoty były czasem spore, czasem mniejsze, ale dawały siłę i wiarę w to że Chata jest potrzebna, że akcja sens.

Już przed majem 2003 było wiadomo, że nie postawimy Chaty w roku 2003. Nie było wystarczających pieniędzy, nie było odpowiedniego materiału. Zapadła decyzja, że w tym roku postawimy fundamenty, zaś w następnym konstrukcję z drewna ściętego podczas zimy. Julek Głowacki już na samym początku zapowiedział darowiznę w postaci złączy do drewna i przekonał nas że przy ich użyciu nie trzeba stawiać Chaty z przesezonowanego drewna. Pozostawała kwestia jak potniemy to drewno, czy na dole w tartaku, czy wciągniemy przenośny trak na górę i przetrzemy to na Górze. Ale to już jest opowieść na następny odcinek...

Igor Czajka

Pierwsza polska szanta górską
BAŃKA OTRYCKA

Chodzi bańka. Na Otrycie
kraży bańka z rąk do rąk.
Dobra praca, lepsze picie,
gdzie jest drewno, tam jest sąg.

W wasze dłonie perswaduję,
kraży bańka z rąk do rąk.
Wypij ze mną, nie bądź chujem,
trzeba przepić chaty swąd.

Nie jest mi to obojętne,
kraży bańka z rąk do rąk.
Ja bynajmniej bardzo chętnie.
Na Otrycie bańki krąg.

Spracowane bolą dłonie,
kraży bańka z rąk do rąk.
Ja ci radzę: nie chodź do niej!
jutro zechcesz uciec stąd.

Rośnie chata, że aż miło,
kraży bańka z rąk do rąk.
Jeszcze jakby komuś w ryło...
Byłby w bańce lepszy prąd.

Nie płacz mała, szkoda łez,
kraży bańka z rąk do rąk.
Miałaś, teraz będziesz bez...
To był nieuchronny krok.

Próżne troski, zbędny żal,
kraży bańka z rąk do rąk.
dziś to nasz ostatni bal,
jutro czas odjeżdżać stąd.

Juliusz Głowacki

KOMISARZ

A kiedyś przyszedł także po mnie
Komisarz bardzo purpurowy,
Tak mi zabełtał błękit w głowie,
Że byłem jasny i gotowy.

Wstęp

Ciemna noc, 7-ma rano. Z przepaści snu wrywa mnie telefon.
Odbieram przez sen:

- Halo.....???
- Julo, k..., co się s tobą dzieje? Dlaczego nie dzwonisz?
Słuchaj, jedziemy na Wielkanoc do Lutowisk!

I.

Wczesne lata 90-te. Wigilia Wielkiej Nocy, mroczne
popołudnie.

Przez zamazane szyby dużego Fiata z silnikiem Poloneza ledwo
widać tonący w mroku krajobraz szarej rzeczywistości wsi
podradomskich (i chwała Bogu).

Sznur aut próbujących wjechać do Radomia co chwila rusza i
znów staje. W siąpiącym deszczu rozmazują się czerwone linie
zapalanych co chwila „stopów”.

Przed nami zielony Maluch. Obok mnie na siedzeniu pasażera -
Komisarz. Koszula koloru khaki niedbale rozpięta pod szyją,
zarost na twarzy i włosy krótko przycięte tą samą maszynką.
Miarowym, spokojnym głosem, z którym kontrastuje blask jego
natchnionych oczu, czyta „Mistrza i Małgorzatę”.

Właśnie diabeł przepowiedział śmierć Towarzyszowi Poecie.

Staram się koncentrować na „stopach” Malucha.

Poeta wstaje z ławki. Tramwaj dzwoni jak szalony, pisk opon,
głowa poety toczy się po torach.

Pisk opon, trzask, Maluch odskakuje jak piłka.

Stoimy.

Spod maski Fiata buchają kłęby pary.

Komisarz zwinnym ruchem człowieka lasu wyskakuje z auta.

Ja za nim.

Maluch w środku już nie jest zielony, tylko żółty.

Biedny weterynarz z Radomia - kopa jajek, które wiózł żonie
na święta, rozbryzgnęła się w całej kabinie. Gigantyczna
jajecznicza. Facet nie może dobyć głosu, patrzy na silnik,
który wjechał mu do środka.

Komisarz z pełnym poczuciem wyższości poezji nad
prozaicznością problemu silnika, pyta spokojnie
roztrzęsionego weterynarza o najbliższy warsztat
samochodowy.

Dalszego ciągu dzieła Bułchakowa nigdy już nie przeczytałem.

II.

Stoimy przed chatą Jurka Dwatysięcy. Jurek od bardzo dawna nie był w kinie. Zostawiam mu więc kluczyki i jeszcze raz przypominam, żeby na noc spuścił wodę z chłodnicy, bo ja mróz rozsadzi.

Jeszcze po kielonku z Jurkiem i możemy ruszać.

Oczywiście Mariusz prowadzi. Patrzą na jego barczystą postać.

Strój moro, wojskowe buty, za pasem półmetrowy nóż - dają mi poczucie bezpieczeństwa.

I ten równy, doświadczony krok Komisarza.

Wspinamy się na pasmo Otrytu. Jest północ. Nic nie ma ci ciszy; no może nasze przyspieszone oddechy.

Ciemno jak w d... i nagle nad głowami dwa zielonkawe światełka. Stanęliśmy unieruchomieni tą kompletną abstrakcją. Chwila bezruchu (myślowego też) i po sekundzie z hukiem łamanych gałęzi przewala się nad naszymi głowami wielkie cielsko jelenia.

Przysiedliśmy na zadkach. Łapiemy kontakt z rzeczywistością i idziemy dalej - na skróty - Mariusz zna drogę jak własną kuchnię.

Lekkim trawersem w stronę Chmiela.

- Julio, chyba nas wyniosło za daleko - stwierdza Mariusz.

Skręcamy prosto pod górę, przez jary i wądoły - tzw.

Diretissima Otrytu.

Jest grzbiet. Komisarz z uwagą bada powalone pnie drzew, z których odczytuje drogę.

Wracamy od Chmiela w stronę, z której przyszliśmy.

Chwila odpoczynku. Mariusz nerwowo szuka czegoś po kieszeniach.

- Julio, musimy wrócić - wypadła mi klamka. To pewnie przez tego jelenia.

Wracamy.

III.

Wreszcie chata!

Po takim spacerze jest jak luksusowa willa. Czwarta nad ranem. Wchodzimy.

Ach, ten znajomy odór chaty! Kilkadziesiąt głosów chrapie, sapie, itd.

Komisarz zdziwiony:

- Co tu tak cicho?!

I na całe gardło:

- Co jest do cholery! Pomarli tu wszyscy?!

Kilka nieprzytomnych postaci zwleka się na dół.
Waldek - rzeźbiarz, jeszcze wcięty, pyta jaki dziś mamy dzień. Komisarz wyjmując z plecaka komisarzówkę. Schodzi coraz więcej osób, chociaż dopiero co poszli spać.
W końcu to Komisarz przyjechał!
Pierwszy raz w życiu zacząłem pić o 4-tej i o 8-mej rano byłem już gotów stawić czoło każdemu wyzwaniu.

Zakończenie

Jeleń szarpie mnie rogami. Nie, to chyba łapa niedźwiedzia. Otwieram oczy i zrywam się na równe nogi. Jest szaro. Zaczynam coś widzieć - to Komisarz w pełnym rynsztunku bojowym.

- Co się stało? - pytam z trwogą.
- Musimy iść - odpowiada Komisarz tonem wyższej racji nie znoszącej sprzeciwu.

No cóż, musimy, to musimy. Ubieram się szybko, chociaż jeszcze śpię.

Komisarz, jak zawsze opiekuńczy, z matczyną troską podaje mi gorący metalowy kubek. Herbata parzy, ale łykam szybko. Wychodzimy przed chatę. Świta.

Stoimy przed chatą sami. Dookoła cisza.

- Więc co się stało - powtarzam pytanie - gdzie reszta?
- Jelenie podchodzą tu tak blisko chaty tylko o świcie. Musisz to zobaczyć! - odpowiada Mariusz jakby mi podawał przepis na dobrze upieczonego barana.

Stoję przed chatą koło niego i zastanawiam się: „wrócić spokojnie do łóżka, czy udusić go?”

Ale on, jak zawsze szybki i zdecydowany w ruchach, nie czeka.

Już pognął chyżo w bór i knieje.

Obudziłem się całkiem - „właściwie, czemu nie...?”

Poszliśmy.

Jeleni nie było, ale ten spacer po górach, o świcie, ze zwariowanym Komisarzem, będę pamiętał do końca życia.

Juliusz Głowacki

P.S.

Tekst był prezentem ode mnie na ślub Komisarza z Hanią. Publikuję go za ich zgodą (Ust. o prawach autorskich Dz.U. nr....itd., etc).

Post scriptum

motto:

(stara przyśpiewka góralska, oryginalna)

„Byli hłopci, byli, ale sie mineni.

I my się miniemy po malućkiej kwili.”

Niedawno kolega z liceum, który ma dobrą pamięć, powiedział mi, że na Otrycie byłem po raz pierwszy w 1971 roku. Nie pamiętam - wędrowaliśmy po dzikich Bieszczadach i Otryt był jednym z wielu pięknych miejsc na trasie (oczywiście nie było jeszcze chaty). Pamiętam znacznie lepiej schronisko na Łopienniku i w Komańczy, oraz bazę studencką pod wojskowymi namiotami w Górnych nad potokiem. Nawiasem mówiąc, musiałem tam spotkać pierwszych budowniczych chaty.

Kilka razy łąziłem po Bieszczadach w latach 70-tych, ale to było uzupełnienie mojego głównego kierunku - Tatr. Cóż, w Bieszczadach nie było gdzie się wspinać, a ja byłem napalonym taternikiem. Za to Tatry już wtedy bardzo się zmieniały: zalew stonki turystycznej i komercji, sceprzenie Górali, wypędzenie owiec z hal i upadek bacówek. To nie było to Podhale, które znałem z lat 60-tych (pamiętam jak już w Chabówce czekał na nas gazda z kumoterkami, po czym upijali się po drodze z moim ojcem na koźle do nieprzytomności tak, że serpentyny nad Jaszczurówką braliśmy poślizgami, a moja biedna matka trzymała mnie i siostrę, żebyśmy nie wyfrunęli z sanek). Skończyły się „klimaciki” w Tatrach.

Wiedziałem, że są w Bieszczadach, ale po założeniu rodziny w latach 80-tych musiałem zrezygnować i ze wspinaczki (dzieci muszą mieć ojca, a większość moich kumpli zabiła się) i w ogóle z gór. To była trudna dekada dla młodego żonkosia, a po niej musiałem wskoczyć do ostatniego wagonu pociągu zwanego kapitalizmem.

Na Otryt zaciągnął mnie Komisarz pod koniec 80-tych. Od tej pory pojawiałem się nieregularnie i spontanicznie. Zawsze jako nie zrzeszony i wolny strzelec. Zawsze z boku, ale coraz większy sympatyk.

Do klubu zostałem zapisany na Walnym w 2003, czyli niedawno.

I tu dwie refleksje.

Dziwię się niektórym z Was, mówiącym, że „kiedyś dyskusje, klimaty, filozofowanie...”, a teraz proza życia wnoszona na górę. Tak mówią starzy ludzie, którzy chcieliby zatrzymać czas. Swój czas.

Kto jak kto, ja pamiętam czasy hipisowskie i obłądne dyskusje nad sensem życia po świt. (Pamiętam też „chatę, szkło”, a nawet ten „koc na dachu”, chociaż ona akurat nie miała „twarzy Poli Raksy”). To co, że ściałem koński ogon i często muszę nosić garniaka z kurwacikiem!? Przecież na Otryt włączę, pokonując zadyszkę, właśnie dla „klimacików”. I to, co mi się najbardziej podoba: nigdy nie słyszałem na Otrycie rozmów o pracy i pieniądzach!

I druga, dziwna refleksja. Ja właśnie teraz na dobre zasmaczyłem w Górze. Właśnie teraz, kiedy jest od cholery roboty. Mnie się to nawet bardziej podoba, bo na chłanie od rana do wieczora to ja już nie mam siły. Oczywiście nie cieszę się, że chata spłonęła, podobnie jak żal mi Łopiennika i paru innych spalonych chat.

Ale cieszę się na myśl o wspólnym budowaniu, o ciężkiej robocie. To ci dopiero powrót starych czasów! Widzę w tym i powiew socrealistycznego „kolektywu”, „inicjatywy oddolnej” i ducha, który jednoczył pierwszych budowniczych chaty. Widzę w tym również wielką szansę na konsolidację środowiska; mało tego – na dopływ „świeżej krwi”. Kto to pisał, że marzy o powrocie czasów, kiedy całe dnie można było spędzić przy kominku? Ni ma! Przykro? No cóż, ja bym powiedział, że gnuśność jest miła, ale ma też swoją złą stronę. To m.in. ona sprawiła, że zaginął entuzjizm. Teraz wróci. I stanie się to samo przez się. Bo JEST CEL. Każdy przyjazd na Górę jest po coś.

A biesiady? A czyż nie smakowały bardziej pod wiatą po przepracowanym dniu? I czy były gorsze, rzadziej, krótsze? Nie! Wręcz przeciwnie – nie wiem skąd miałem siłę pić do 2-giej i wstawać o 7-mej, ale miałem.

Juliusz Głowacki

**Na melodię
„Bo na to już nie ma rady, chyba że tylko w Bieszczady...”**

Bynajmniej muzykalna jest otrycka banda.
Pośród cichej nocy,
choć to ponoć granda,
odbija tarniówki,
bo w tym wprawę ma -
- Kuba (niech nam żyje
jeszcze kilkadziesiąt lat).

R:
Bo nam już
nikt nie da rady.
Słyszają nasze wycie
całe Bieszczady.
Z każdą flaszką piękniej
brzmi nasz śpiew,
aż słowiki główką na dół
pospadały z drzew.

Igor i ja, choć zamiar mamy szczery,
śpiewać swoim głosem
nie chcemy ni cholery,
Jaś Michała goni,
Exa gonię ja,
po pięciolinii zwariowany
berek trwa.

Staszek ?????????? (mówcie mu „Stasiu”)
strasznie cierpi, biedak słuchając naszych basów.
I to mu przyznać trzeba,
że cierpliwość ma -
- bo chciałby słyszeć jeden ton,
a słyszy dwa.

Pawlik się roztkliwił nad Joanny trelem,

(sam sobie Andrzej dopisz, to Ty dostaniesz po
mordzie, a nie ja).

Juliusz Głowacki

MOJA HISTORIA OTRYTU

Wspominki

Moja przygoda z Otrytem to rok 1976. Wałęsałem się wtedy po Beskidzie Niskim i po Bieszczadach, głównie po granicznych pasmach i po bazach studenckich. Były to czasy knajpy w Ustrzykach Górnych, która nazywała się „Pulpit”. Był to obskurny barak ze szkła i dykty podtrzymywany przez żelazny rdzewiejący szkielec ogrzewany metalowymi karbowanymi rurami, które po prostu położone były wzdłuż okien bez żadnej osłony. Stoliki tłuste, bufet obdrapany. Tłumy ludzi a właściwie dwa rodzaje ludzi – turyści i robotnicy leśni wiecznie pijani i zaczepiający turystki. Utkwiły mi w pamięci częste awantury bez powodu i wyczekiwanie na piwo aż wreszcie łaskawie je przywiozą. Kiedyś jeden z wozaków wrzeszczał na całe gardło, że wjedzie do „Pulpitu” na koniu. Bo tak wjeżdżali do knajpy w Teleśnicy Sannie – Merski i Wiktorini (fakt historyczny). Więc ten chłop uparł się, że też tego dokona, ale nie udało się, bo futryna była za niska, nie mniej jednak wpędził tego konia na werandę po schodach w pijanym widzie pod same drzwi, ale koń karku zgiać nie chciał i nic z tego nie wyszło. Innym razem ów wozak założył się z kimś, że napoi w „Pulpicie” piwem barana. Wszyscy ludzie w tym surrealistycznym obiekcie czekali na rozstrzygnięcie tego zakładu. Chłop słowa postanowił dotrzymać i po dwóch godzinach przyciągnął zwierzę na sznurku. Baran był wielki i silny i ani myślał wskakiwać na werandę po schodach. Ale pomogli mu kumple. Zabawa była nieprawdopodobna, ponieważ w końcu wnieśli go do środka. Podniosły się wtedy głosy, żeby przestali męczyć to zwierzę, ale pijani i agresywni robotnicy zakrzyczeli wszystkim. Przy pojeniu parę kufli stłukło się rozlewając piwo na połamane krzesła i stoliki. Agent przyglądał się z politowaniem i było widać wyraźnie, że się boi przeszkadzać w tej zabawie. Baran w końcu wierzgnął i uciekł.

Kiedyś siedząc przy piwie w „Pulpicie” postanowiłem pójść na północ w pasmo Otrytu, ponieważ to takie nieuczęszczane rejony i ciągnęło mnie w nieznaną.

Posiadałem wtedy bawełniany namiot – Mikrus, ruska maszynkę do gotowania, chodziłem w butach, które nazywały się Himalaje, przed deszczem chronilem się wojskowym gumowym

płaszczem OP-1, który ważył dwa kilo. Wchodziłem na Otryt od Smolnika, ale do chaty nie doszedłem, bo... zablądziłem. W nocy mocno lało, namiot był kiepski i przeciekał, więc przykryłem go tym gumowym płaszczem. Następnego dnia idąc po grzbiecie Otrytu widziałem stado żubrów i dzików i wydawało mi się, że to takie normalne i że zawsze tutaj były, są i zawsze będą. Jakże się myliłem.

W chacie zastałem tłum ludzi, ale nie przypadkowych turystów. Byli to ludzie z Uniwersytetu Warszawskiego. Wtedy utkwiła mi w pamięci bardzo ciężka ideologiczna i naukowa atmosfera. Nie zostałem na noc, bo dano mi do zrozumienia, że nie ma miejsca, ponieważ turystów właściwie się nie przyjmuje, bo odbywają się wykłady naukowe i nie wolno przeszkadzać.

Zapamiętałem postać Wojtka Józwiaka i Henryka Kliszki - byli to dwaj bardzo ważni wykładowcy i wyraźnie odczuwało się, że mieli duży autorytet. W czasie tych wakacji zaglądałem jeszcze parokrotnie do tej chaty aż w końcu udało mi się zostać na nocleg no i oczywiście posłuchać wykładu. Wykład zrobił Wojtek Józwiak. Temat był skomplikowany filozoficzno - egzystencjalny. Pamiętam, że słuchacz zadawali mnóstwo pytań z wypiekami na twarzy często nie rozumiejąc, o co chodzi, ale Wojtek bardzo cierpliwie i z ogromnym przejęciem wszystko tłumaczył. Podkreślał parokrotnie, że jest to jego własne opracowanie filozoficzne i bardzo mu zależy, żeby wszyscy podążali dokładnie jego myślami. Po wykładzie Wojtek zakładał długa biała koszulę do kostek, która służyła mu w zasadzie docelowo do spania, ale jeszcze zanim poszedł spać długo się udzielał towarzysko. Biała postać tego długiego faceta bardzo się wyróżniała w tłumie. W tej koszuli Wojtek prowadził indywidualną konwersację z jakąś kobietą nie ukrywając swojego ogromnego temperamentu. Był bardzo czuły i opiekuńczy. To było fantastyczne, choć przypominał momentami rozjuszonego buhaja, spokojnie i z ogromnym wdziękiem osiągał swój cel.

Postać Henryka Kliszki z tamtych czasów to postać bardzo poważnego profesora prowadzącego rozważania na temat nauk Marksa i Engelsa. Henryk urzędował w gościówce był nieprzystępny a mnie nie przyszło nawet do głowy żeby odważyć się na przekroczenie progu tego pokoju.

Generalnie podobało mi się to miejsce, na pewno bardziej niż siedzenie w tym „Pulpicie” w Ustrzykach Górnych i spanie w bazie studenckiej.

Teraz chce poświęcić słów parę Mariuszowi Twardowskiemu, czyli Komisarzowi. Nie pamiętam, w którym roku go poznałem na Otrycie, ale okoliczności tego poznania utkwiły mi w pamięci. To był człowiek-komandos z dużym nożem u boku, w panterkach, absolutny autorytet w sprawach lasu i integracji grupowej, prawdziwy „przewodnik stada”. W przeciwieństwie do Wojtka Józwiaka sprawiał wrażenie jakby nie wykazywał inicjatywy do kobiet. Ja zaryzykuję twierdzenie, że to kobiety Mariusza zawsze zdobywały. Razu pewnego Mariusz nie był w stanie się obronić przed bardzo dorodną blondynką. Ona nie ukrywała w towarzystwie, że Komisarz wpadł jej w oko. Przez pewien czas Komisarz czuł się bardzo zażenowany, ale któregoś ranka zauważyłem u Mariusza niezwykłą przemianę. Radosny, pewny siebie (blondyna też była bardzo zadowolona). Wydawało mi się że za chwilę Mariusz oświadczy wszystkim – „A nie mówiłem, że jestem supermanem”.

Mariusz często snuł różne opowieści. Jedną taką zapamiętałem. Była to opowieść o „bandzie siedmiu dziadów”. Siedmiu zbuntowanych facetów po prostu ukrywało się w Bieszczadach przed milicją. Milicja nie mogła ich złapać, coś przeskrobali, ale ja myślę że największym grzechem tych ludzi było po prostu to, że władza ludowa nie miała nad nimi kontroli. Pamiętajmy, że były to czasy systemu totalitarnego, który nie znosił żadnej niezależności. Mariusz opisywał tych ludzi i między innymi wymienił niejakiego Hanysa ze Śląska. Mówił, że mają jakieś bunkry za Zatwarnica w których ukrywają składy broni.

Ja kiedyś schodząc z Wetlińskiej przez Stoły spadłem do Doliny Hulskiego. Pod wieczór zaczęło lać. Schroniłem się w baczowce. Zmarzłem, przemokłem, więc szybko do śpiwora i spać. Ale przyszli baczowcy z owcami i obudzili mnie. Podnieśli z pogorzelska ogromny bukowy pniak, który pod spodem się żarzył. Szybko rozpalili ognisko. Zrobiło się ciepło. Zaczęła się rozmowa. Jeden przedstawił się – Hanys jestem a Ty skąd idziesz?, z Wetliny odpowiedziałem. A dokąd? – na Otryt do tamtej chaty. Do chaty a której? No tej nad Chmielem, która warszawiacy wybudowali. Aaaa..... coś słyszałem, no dobrze to się napijmy. Trochę się posilili, pogadali i mówią: To se chłopie śpij a my do strażnic idziem owiec pilnować, bo wilki grasują. I poszli. Ale zdążyłem zapytać: „ a to o was tak mówią – banda siedmiu dziadów”, odpowiedzieli „ tak chłopie, ale to stare dzieje i teraz owce pasiem”. W sumie na bandziorów to oni nie wyglądali na

dziadów też nie, po prostu zwykli bacowie weseli i uczynni.
Rano próbowałem ich nakłonić, żeby mi coś opowiedzieli z
przeszłości, ale nie chcieli. Byli skryci i myślę, że tym
podtrzymali wrażenie legendy o sobie.

Piotr Kurowski
DON GORE

SMUTEK

Nieproszony gość do domu
pięciolinia szarych nutek
jak duch wpłynął po kryjomu
smętnie zasmucony smutek.

Z niedośnionych snów strumieni
śpiewających w górskim zboczu
spłynął znikąd, wszystko zmienił,
do otwartych przywarł oczu.

Niewidzialny, cichy, lekki
sennych wspomnień pajęczynę,
marzeń nagle tak dalekich,
w zapomnienia tren zawinął.

Wniknął w śpiącą ciszę domu
nieproszony gość, podrzutek.
Jak duch wpłynął po kryjomu
smętnie zasmucony smutek.

Juliusz Głowacki

Majowy wypoczynek.

Wyjazd nie bez powodu nazwany wypoczynkiem. Jechałem tam zmordowany pracą, Warszawą, hałasem, globalistami anty-globalistami, policją, "zamknięta strefa". Miałem dosyć. Chciałem odpocząć, pooddychać, posłuchać "co tam u mnie w środku". Taki był cel i udało mi się na szczęście go zrealizować.

Fascynującym dla mnie doświadczeniem - nowym doświadczeniem - było przeżycie "pragnienia ciszy". Wchodząc na Górę w czwartkowy wieczór upiłem się ciszą (nie, nie wódką). Potrzebowałem ciszy jak powietrza. Na III przystanku siedziałem godzinę i słuchałem lasu, siebie i ciszy. Wiem, że brzmi to pompatycznie ale było to niezwykle głębokie, ważne przeżycie. Przyjąłem je jako etap mojego dojrzewania jako oswojenie się z ciszą. Ciekawe. A sam pobyt też pozwalał odpocząć, posiedzieć w ciszy. Wszystkie osoby na Górze miały chyba "fazę na relaks". Było w miarę cicho, spokojnie. Długo spaliśmy, siedzieliśmy do rana przy ognisku, często nawet w milczeniu. Taki stan łatwo było utrzymać gdyż było nas mało (około 10 osób).

Hmmmm i to tyle. Może i mało ale i ten wyjazd był na swój sposób "minimalistyczny". Powiem krótko mnie właśnie taka forma była absolutnie potrzebna.

Jan Wasilewicz

PAŹDZIERNIK

Październikowy wieczór - przyjaciel mego smutku.
Z pożółkłych liści i z gałęzi splata
osnowę zimy, a na niej po cichutku
wątek - wspomnienie minionego lata.

Juliusz Głowacki

Na zakończenie dwa zdjęcia Julkowej niespodzianki,
przygotowanej na Nadzwyczajne Walne Zebranie Klubu
27 maja 2004 roku:



Przy fundamentach

Nie wznoszę pomnika,
stawiając ten mur.
A jeśli - to nie sobie.

Zostawię po sobie
śląd rękawicy na cegle,
odcisk buta
w słojach ubitej ziemi.
Sam o nich zapomnę.

Stanie dom.
Schronienie przechodniów i zbiegów.

Tadeusz A. Olszański